

Relacja z wyjazdu dookoła świata (2008) – www.easyriders.pl

Pociągiem pojechaliśmy do Berlina skąd samolotem przez Dusseldorf poleciliśmy do Nowego Jorku. Nawet na tym etapie nie obyło się bez przygód. Najpierw okazało się, że musimy jechać innym pociągiem niż planowaliśmy gdyż nie było już biletów, następnie pociąg gdy już w nim byliśmy zepsuł się. Staliśmy dwie godziny po czym wywiózł nas na dworzec, który wcale nie był w jego planie trasy. Stamtąd w nocy, mając sporo szczęścia dostaliśmy się na dworzec wschodni w Berlinie. Przeczekaliśmy na nim do rana, przejechaliśmy na lotnisko Tegel.

W Nowym Jorku wylądowaliśmy na lotnisku JFK. Wsiadliśmy w kolejkę tzw. Airtrain, nią dojechaliśmy do stacji metra, którym dalej pojechaliśmy na Brooklyn gdzie był nasz motel. Dobre miejsce jeśli chodzi o położenie, przy samej stacji linii, którą w około 20min. można było dostać się na Manhattan (bezpośrednio). Niestety obsługa bardzo dziwna. Już na początku chcieli nas wykiwać ale się nie daliśmy. Warunki zupełnie inne niż byśmy mogli sobie wyobrazić. Na abażurach lampek nocnych założone były na stałe folie ochronne. Dziwnie to wyglądało. W oknie klimatyzator, od razu za szybą zderzaki samochodów. Światła wpadało bardzo mało bo pokój był w suterenie. Poza tym ktoś mocno nadużył odświeżacza. Mieliśmy telewizor, w domu tego nie ma. Jako, że mało czasu spędzaliśmy w pokoju nie przeszkadzało to specjalnie.

Manhattan zwiedzaliśmy w rocznicę rzekomego ataku terrorystycznego na WTC. Duży plus bo w metrze był luz, dobrze się przemieszczało. Na każdym skrzyżowaniu był patrol policji. Tylu policjantów wcześniej nie widziałem. Były manifestacje, telewizja, reporterzy, koncerty. Na początku udaliśmy się na Statuę Wolności. Dopływa się tam statkiem, który kursuje z południowego krańca wyspy, z przystani w Bartery Parku. By wejść na statkę przechodzi się kontrolę osobistą zbliżoną do tych na lotniskach. Są szafki depozytowe gdzie można zostawić zakazane przedmioty. Pogoda była bardzo ładna. Weszliśmy na taras widokowy, który mieści się na górze podstawy samej statuy. Przy wejściu schodami na taras widać wewnętrzny szkielet konstrukcji. Rozpościera się stąd ciekawa panorama z drapaczami chmur. Popłynęliśmy następnie na pobliską wyspę Ellis gdzie przyplýwali dawniej imigranci. Są tam budynki mające znaczenie historyczne. Odbywała się w nich selekcja, spisywanie, mierzenie.

Po powrocie na Manhattan przeszliśmy go pieszo odwiedzając po drodze miejsce gdzie stały dwie wieże czyli tzw. Ground zero, kościół św. Trójcy, giełda na Wall Street, most Brooklyński i Manhattański, China Town, Little Italy, SOHO. Ładny kawałek drogi ale nie warto było wsiadać do metra czy autobusu bo by się znacznie mniej zobaczyło. Wjechaliśmy na Empire State. Wcześniej na bramce zabrali mi do depozytu szwajcarski scyzoryk, który dostałem specjalnie na ten wyjazd od kuzyna. Zapomniałem, że mam go w plecaku. Nie umknął uwagi strażników. Byliśmy na obu tarasach ale mimo, że wyższy jest sporo wyżej raczej nie warto płacić za dodatkowy bilet by tam się dostać. Tej różnicy wysokości tak bardzo nie widać a jest odgradzony szybami. Dolny wg nas sporo lepszy bo na zewnątrz. Zabezpieczony oczywiście siatką ale słyszeć gwar miasta, czuć powiew, czuć po prostu klimat. Po zachodzie słońca. Mnóstwo światełek. Nie przepadam za miastem ale taki widok warto zobaczyć. Jest niesamowity.

Poszliśmy na Time Square, Broadway. Było jasno jak w dzień od neonów. wielkich ekranów LCD. Są wszędzie. Kolorowo i gwarno. Mimo środka tygodnia, września (czyli poza sezonem urlopowym) odwiedzających setki.

Późnym wieczorem metrem wróciliśmy na Brooklyn. Wpadliśmy na chińszczyznę do pobliskiej knajpy. Na razie nie próbowaliśmy hamburgerów. Jakoś nie mieliśmy ochoty. Bardzo popularne są tam bary gdzie samemu nakłada się to co chce i ile – na wagę. Dobre rozwiązanie bo można zjeść dokładnie to na co ma się ochotę. Na drugi dzień także pojechaliśmy na Manhattan, tym razem górny. Byliśmy w Central Parku, muzeum Guggenheima, przy budynku Flatiron (bardzo

Alkoholowa prohibicja. Nie można było wieźć piwa w kabinie samochodu więc trzymaliśmy je w bagażniku. Nie to, że my tacy alkoholicy ale wiadomo, po ciężkim dniu w upale wieczorem do kielbaski z ogniska czy grilla najlepiej smakuje zimne piwko. Każdego dnia przemierzaliśmy się o kilkaset kilometrów. Składanie namiotu szło nam coraz szybciej choć czasem zmęczenie spowalniało ruchy. Bryce też jest pięknym miejscem, zresztą pozostałe również. Ciężko jednoznacznie sklasyfikować odwiedzone miejsca. Każde ma swój klimat i urok. Zabudowania Pueblo w Mesa Verde są czymś innym niż Wielki Kanion czy Yosemite. Stoi się na brzegu przepaści, wokół góry w różnych odcieniach czerwieni i pomarańczy, bieli, na horyzoncie pustynia, żadnych miast, żadnych spalin i smogu... cisza, powiew wiatru...

Kanion Antilope – swego rodzaju jaskinia – szczelina w ziemi. Wspaniała gra światła. Jezioro Powella o zachodzie słońca – feeryczny widok siedząc przy namiocie na jego brzegu. Po tym wszystkim Wielki Kanion Kolorado nie wywołuje tak wielkiego wrażenia jak by się można było spodziewać. Po prostu tyle już człowiek zobaczył pięknych miejsc w ciągu ostatnich dni, że stając na jego skraju przez myśl przechodzi tylko – Świat jest piękny!

Monument Valley, niczym na westernie albo filmie drogi. Las Vegas kolorowe, nieco tandetne, trochę jak w Disneylandzie. Miniaturki miast, wieża Eiffla, Wenecja, Nowy Jork ale przede wszystkim kasyna. Pełno młodych, podpitych ludzi. Nami, zainteresowała się policja pytając czy wszystko w porządku. Wyróżniliśmy się trzeźwością dosłowną i nie tylko. Przeszliśmy kawał miasta pieszo. Na jego obrzeżach, na piasku wśród kepek traw rozbiliśmy namiot. Mimo późnej godziny powietrze było gorące. W toalecie światło zasilane było z baterii słonecznych. Skąpe bo diodowe ale wystarczające by zobaczyć pająki. Płaciło się podobnie jak w innych miejscach samoobsługowo czyli pobierało kopertę, odrywało od niej wycinek, na którym wpisywało się swoje dane, zaczepiało na słupku przy namiocie a kopertę z zapłatą wrzucało do skrzynki. Czasem ktoś z obsługi pojawiał się by sprawdzić czy wszystko w porządku i czy każdy wniósł opłatę. Ceny w przeliczeniu na złotówki w tym czasie były przystępne. Dolar kosztował niewiele ponad 2 złote a nocleg dla czterech osób pomiędzy 10 a 20 USD. Wychodziło więc średnio około ośmiu złotych za noc na osobę.

Dolina Śmierci była jeszcze gorętszym miejscem. Piasek parzył, kilka minut na zewnątrz powodowało, że człowiek czuł się jak w piekarniku. Ogromna przestrzeń bez zabudowań. Bardzo mało stacji benzynowych. Trzeba było myśleć o tankowaniu sporo wcześniej. Pojawiły się znowu góry, ochłodziło się. El Capitan (Yosemite) to faktycznie stromizna, Half Doom, wodospady, sekwoje. Każdego dnia widoki różniły się tak bardzo. Zwierzyna podchodzi do namiotów. Spotkaliśmy campingi gdzie były specjalne szafki do trzymania żywności.

San Francisco. Dobrze, że w życiu krajobraz się zmienia – to czyni je ciekawszym. Można docenić piękno każdego z miejsc jeśli nie wpada się w monotonię i patrząc- widzi. Po dłuższym przebywaniu na łonie natury chętnie spacerowaliśmy ulicami miasta. Klimat bardzo dobrze wyczuwalny. Pojeździliśmy autobusami, tramwajami i oczywiście tymi linowymi (cable car). Te ostatnie najlepsze. Niezła frajda stać sobie na zewnętrznym stopniu i mknąć ulicami o bardzo dużym spadku, zahaczać niemalże plecami zaparkowane wzdłuż jezdni samochody. Motorniczy wkłada duży wysiłek w sterowanie pojazdem. Nieustannie przestawia dźwignie. Skrzyżowania są położone płasko, przecznice dochodzące do nich mają spadki. Tramwaj zatrzymuje się na ich środku czyli w miejscu poziomym. Oczywiście samochody wtedy nie wjeżdżają na skrzyżowanie i pasażerowie mogą spokojnie wsiadać i wysiadać. Pieszko idziemy kawał drogi do mostu Golden Gate. Po drodze widzimy więzienie Alcatraz oraz port i przystań jachtową. Idziemy wzdłuż wybrzeża. Do mostu docieramy o zachodzie słońca. Piękny widok. Warto wspomnieć w tym miejscu o polskich śladach w Stanach. Most Golden Gate, zaprojektował Rudolf Modrzejewski. Takich wspaniałych obiektów autorstwa rodaków jest więcej. Długość 2,7 kilometra, kolor pomarańczowy. To była pierwotnie farba podkładowa. Mieszkańcom spodobał się pomarańcz na tyle, że nie chcieli by pomalowano go właściwą warstwą wierzchnią. Nasz hotel położony w

centrum nie należał do luksusowych ale mieliśmy w nim wszystko co było potrzebne. W zasadzie po ostatnich nocach w prymitywnych warunkach wydawał się nam luksusowy.

Wzdłuż oceanu jedziemy przez malownicze miasteczka o początku w nazwie Santa. Po prawej stronie Ocean Spokojny, po lewej skały, pola, zabudowania. Jedziemy klifem, widok romantyczny. Na brzegu słonie morskie, na plażach surferzy. Odwiedzamy miejscowość Solvang. Docieramy w końcu do Los Angeles. Tam zatrzymujemy się u znajomych Hani – Anity i Macieja. Opijamy ich z piwa, które o dziwo się nie kończy. Lodówki w USA, jak wiadomo, są bardzo duże. Zwiedzamy wspólnie miasto i okolice. Jesteśmy w Hollywood, podziwiamy dzieła sztuki w Getty Center, oglądamy nieboskłon w obserwatorium Griffith, maszerujemy po downtown, patrzymy na Queen Merry w Long Beach, robimy sobie spacer deptakiem pełnym artystów. W Hollywood idziemy na hamburgery do kultowej budki, istniejącej od dziesiątków lat. Kolejka długa bo każdy chce spróbować najlepsze hamburgery w LA. Faktycznie smakują. Szybko przyszedł czas na pożegnanie ze znajomymi i Ameryką. Wsiadamy do samolotu lecącego na Tajwan.

W Taipei pogoda mglista, nic nie widać. Elektronika, co mnie dziwi, droższa niż w Stanach, tym bardziej Europie. Sporo ludzi pali. Dalej lecimy do Malezji. W Kuala Lumpur jesteśmy w okolicach południa. Z LA do Taipei lot trwał ok. 14 godzin, z Taipei do KL ok. 3. Zmiana czasu spora. Wylecieliśmy w sobotni wieczór czasu lokalnego a przylecieliśmy w poniedziałek koło południa. To co zyskaliśmy lecąc do Ameryki, teraz musieliśmy oddać. W przyrodzie nic nie ginie.

KLIA Ekspres czyli szybką kolejką łączącą lotnisko z centrum miasta w pół godziny docieramy do KL Sentral. Napisałem Sentral bo tak się faktycznie pisze. Innym pociągiem docieramy pod naszą główną atrakcję - Petronas Twin Towers. Śpimy obok w hotelu. To najbardziej luksusowe miejsce podczas naszej podróży. Możemy sobie jednak na to pozwolić bo ceny nie są wygórowane. Mamy za to widok z okna i balkonu na najwyższe na świecie wieże, które zna też Bond, James Bond. Pokryte są blachą nierdzewną i ona nadaje budynkowi wspaniały efekt. Wygląda to, szczególnie w nocy, lepiej niż na zdjęciach. Potężne reflektory oświetlają kolosa, lśni na odległość. Na dole jest największe w Malezji centrum handlowe SURIA. Chodzimy tam po bułeczki bo jest to najbliższy spożywcza jak mamy. Dobre mają wyroby i niedrogie. Nie jest tak tanio jak w Indiach czy Nepalu ale taniej niż w Polsce. Nie mamy nawet czasu korzystać z hotelowego basenu. Jest październik ale nie narzekamy na chłód. Po wyjściu z jakiegokolwiek budynku (wszędzie jest klima) czuć uderzenie gorąca. Powietrze jest niesamowicie nagrzane i wilgotne. Myślę, że ktoś ze słabym sercem mógłby mieć problemy. Oczywiście nie odpuszczamy sobie wjazdu na taras widokowy. Bilety są bezpłatne. Trzeba odstać tylko rano swoje i już. Pani w kasie daje nam je mówiąc „dziękuję” – tak, po polsku. A nie była to nasza krajanka bo oczy miała skośne. Spacerujemy po rynku gdzie kupujemy zegarki. Mój Rolex, którego noszę do dzisiaj, kosztował 18 złotych a Hani Swatch też coś koło tego. Wykonanie bardzo dobre, w cenie bateria. Gdy mówię sprzedającemu że wziąłbym akurat ten model ale pasek wolę z innego natychmiast zamienia paski według mojego życzenia. Krem Nivea jest wszędzie. Nie chcę robić reklamy ale pewne artykuły dzięki globalizacji ogarnęły cały świat - niestety. Parki mają bardzo ładne. Przemierzamy w upale ładnych parę kilometrów (cały dzień na nogach), zapuszczamy się w mniej turystyczne rejony. Tu już nie jest tak ładnie, czysto i bogato. Widać kontrast. Ludzie w oknach mają kraty, nawet w wieżowcach, które są podobne do naszych blokowisk. Mnóstwo skuterów. Jeźdźcy zakładają kurtki na odwrót czyli to co ma być na plecach osłania brzuch i klatkę piersiową. Ja bym jeździł w krótkim rękawku ale widocznie im było chłodno. Wjeżdżamy na wieżę Menara KL, czwartą co do wysokości na świecie, odwiedzamy plac Merdeka, gdzie jest pałac sultana Abdula Samada a także najwyższy na świecie maszt flagowy. Idziemy do parku, mijamy ciekawe budynki, znowu naj bo największy na świecie park ornitologiczny. Chodzimy między storczykami i hibiskusami. Roślinność egzotyczna, znana u nas jako rośliny doniczkowe – tam w większym wydaniu i warunkach naturalnych. Zaczęło lać. Naprawdę rześisty deszcz. Przeczekujemy przy meczecie schowani pod daszkiem. Do środka niestety wstępu nie mamy jako nie - muzułmanie. Z minaretu rozlega się śpiew nawołujący wiernych do modlitwy.

Lot do Delhi. Widok z okienka samolotu niepowtarzalny. Chmury pod nami mają przeróżne kolory. Jedne wyglądają bardzo groźnie wpadając w granat, inne ciepłe, łagodne w kolorze pomarańczowym lub pożółkłych kartek książki. Są też czerwone, ogniste. Widać jak ścierają się ze sobą, walczą, kłębią i grupują. Towarzyszom temu błyski. Stąd, z nieba inaczej to wygląda. Perspektywa taka daje większy zasięg wzroku i inne spojrzenie.

W Delhi jesteśmy późnym wieczorem. Po wyjściu z lotniska przeżywamy szok. Pojawiamy się w innej bajce. Wokół mnóstwo ludzi o specyficznej urodzie ale przede wszystkim specyficznym podejściu to obcokrajowców. Są strasznie nachalni, wręcz natrętni. Przeszkadza nam to tym bardziej, że jesteśmy zmęczeni. Nie dajemy się jednak oszukać. Bierzymy taksówkę, zdezelowany wóz który zawozi nas na Main Bazar. Mimo późnej pory duży ruch na ulicach. Jazda wydaje się nam czymś irracjonalnym. Przeciskanie się, przejazd skrzyżowania na czerwonym świetle, motocykle na których jadą 3-4osoby no i ta muzyka w radiu, całkiem inna, popularny przebój dla nich ale zupełnie nie znany w Polsce, w ogóle w Europie, Ameryce. U nas wiele rzeczy jest podobnych. Moda, muzyka, samochody, kultura- mimo różnic nie widać przepaści. Tu jest inaczej.

Hotele mogą być różne. Mogą wyglądać normalnie ale także jak nory. Jeśli ktoś odwiedza Delhi śpiąc w drogich, wysokiej klasy hotelach, jeżdżąc klimatyzowaną taksówką i jedząc w restauracji ma zupełnie inne wyobrażenie o mieście. My byliśmy za krótko by wczuć się dobrze w klimat ale wystarczyło nam by mieć swój punkt widzenia. Spaliśmy w obskurnym hotelu, który u nas nazywałby się co najwyżej noclegownią. Brudno, grzyby na ścianie, bez okien, hałas, klejące się z brudu płytki. Na ulicy syf. Kupujemy bilety w metrze i kasjerka próbuje nas oszukać. Mówi, że bilet kosztuje sporo więcej niż się później okazało, dodatkowo chce nas oskubać nie wydając całej reszty. Jest to legalna kasa, obok posterunek policji. Ci ludzie na każdym kroku patrzą na ciebie jak na bogacza, którego należy wydoić. Nie rozumiem tych co chwają taki klimat. Być może krzywdzący to opis i subiektywny ale niestety takie odnieśliśmy wrażenie. Hindusi z naszych obserwacji uznają, że jeśli bóg im pozwolił kogoś okraść, oszukać to znaczy, że dał im przyzwolenie na to i błogosławieństwo, że tak chciał i są w ten sposób rozgrzeszeni. Dziwna to religia skoro jeden nie pomoże drugiemu, skoro są takie różnice społeczne. Ktoś może umierać na ulicy a drugi nawet się nie zainteresuje. Mówi się, że u nas jest znieczulica. Proszę pojechać tam, wrócić i powiedzieć czy dalej się tak uważa. Po części jest – wiadomo, ale w zestawieniu z Indiami...hmm

Zdaje sobie sprawę, że są też normalni obywatele, dobrzy ludzie, jak wszędzie. To tak jakby obcokrajowiec, szczególnie kilkanaście lat wstecz przyleciał na Okęcie, wsiadł do taksówki i widział, jak poczawszy od taksówkarza każdy kto miło się uśmiecha czai się na jego dewizy. Nie oznacza to, że polska gościnność wtedy nie istniała. Żeby z przekonaniem i uczciwością wypowiedzieć się o danym kraju trzeba dobrze poznać jego historię, obyczaje, kulturę, pomieszkać tam wśród zwykłych ludzi przez kilka lat i dopiero zająć stanowisko.

Idziemy pod parlament, Bramę Indii, Qutub Minar, świątynię Lotosu. Ta ostatnia jest nowoczesna i może robić wrażenie. Robi ale nie takie jak powinna. Człowiek patrzy przez pryzmat ogólny, całokształt. Może być coś pięknego, okazałego ale jeśli ludzie wokół nie są tak naprawdę przyjaźni, poruszasz się w brudzie, pyle, śmieciach, do tego upał, spaliny, smog – nie odczuwasz tego tak jak byś odczuwał gdyby przykładowo budynek wspomnianej świątyni oderwać od świata, w którym się znajduje, ocenić niezależnie patrząc na kartki w albumie. Odczuwasz całość, każdym zmysłem i oceniasz. Najbardziej nie podobał mi się widok ubóstwa. Widać je na każdym kroku, szczególnie w miejscach mniej popularnych turystycznie. Dziwi mnie fakt, że ludzie fascynują się tym miastem. Być może Indie są ciekawe ale z pewnością nie Delhi. Owszem, nie twierdzę, że nic ciekawego tam nie ma ale jechać taki kawał, płacić za wizę tylko po to by je zobaczyć – zdecydowanie nie warto. Wielu chwali. Może głupio się im przyznać, że wakacje mieli nieudane? A może pocieszają się

widząc biedę, że inni mają gorzej? Może ogólnie ludzie fascynują się Indiami więc jak można narzekać na Delhi? Nie wiem, w każdym razie ja zdecydowanie odradzam.

Gdy wsiadam do samolotu linii Jet Airways lecącym do Katmandu czuję dreszcz. Nie dlatego, że boję się lotu. Wiem że wysiądę w kraju o którym marzyłem by być od lat. To naprawdę jest nieprawdopodobne. Przy dzisiejszych możliwościach technicznych nie jest teoretycznie problemem znaleźć się na końcu świata. Jest jednak problem, gdy nie mamy po prostu możliwości finansowych by sobie na taki kaprys pozwolić, czasu. Jeśli człowiek przejdzie długą drogę, wyboistą, ze ślepyimi zaułkami, wyrzeczeniami, ciężko zapracuje to faktycznie smak zwycięstwa jest zupełnie inny. Inaczej się to docenia, ma zupełnie inny wymiar. Każdy z nas pamięta jak kupił sobie pierwszy samochód czy mieszkanie, pralkę, patelnię. Nawet gdy obecnie ma się znacznie więcej to tamte chwile
pozostaną
niezapomniane.

Jest ładna pogoda. Powietrze nie tak przegrzane jak w Indiach, jest czym oddychać. Świeci słońce, temperatura w sam raz. Cieszymy się bardzo, że tu jesteśmy. Na lotnisku nie ma problemów z czymkolwiek, wizy mamy w ciągu kilkunastu minut. Trafiamy do fajnego hoteliku, o którym czytałem przed wyjazdem że cieszy się dobrą opinią. Obsługa bardzo przyjazna. Panuje rodzinna atmosfera. Pod koniec pobytu znamy wszystkich z imienia i wszyscy nas kojarzą. Gdy przyszło do pożegnań ciężko było się rozstać. Nazywał się Pilgrim Guest House. Jedzenie bardzo dobre. Najbardziej smakował nam Palak Paneer – ryż z sosem na bazie szpinaku, czosnku i cebuli z pysznym specyficznym serem pokrojonym w kostkę. Czujemy się doskonale. Biegamy pełni energii po Thamelu. Załatwiamy sobie karty z pozwoleniem na wędrowkę przez góry, kupujemy bilety lotnicze do Lukli. Zaopatrujemy się także w kijki trekkingowe (bez przekonania ale jednak), jakieś bluzy i inne drobiazgi. Ceny są bardzo przystępne. Sklepów z wyposażeniem i odzieżą górską jest mnóstwo. Nie oferują one jednak oryginalnych produktów i ich jakość czasem jest super a czasem beznadziejna. Na pewno nie należy kupować tam elementów strategicznych w górach typu buty. Z drugiej strony nie twierdzą, że się tak nie da. O ile jednak gdy kurtka się porwie czy spodnie puszcza na szwie – nie ma większego problemu o tyle jak but się rozwali taki problem niestety jest. My ekwipunek kupiliśmy w Stanach. Był średnio 2 razy tańszy niż w Polsce. Kurtka z membraną jest u nas dla wybrańców, także snobów – to nie lada luksus. Niestety! Kto chce niech płaci. W USA taką kurtkę może mieć zwykły robotnik co jedzie sobie w weekend na ryby...

Stupy, flagi modlitewne, zapach przypraw na targu, mały. Cały dzień łazimy i nie czujemy zmęczenia. Nie przeszkadza nam konieczność każdorazowego targowania się. Zdążyliśmy przyzwyczać się w Indiach, dawniej w Tunezji. Pierwszy raz może być trudny, później nabiera się wprawy. Jest mnóstwo turystów bo to przecież sezon. Po wąskich uliczkach po których porusza się tłum gości jeżdżą także ryksze, taksówki i motocykle. Trąbienie nie jest czymś niezwykłym. Klakson słychać nieustannie. Jest to ostrzeżenie typu: uważaj, wyprzedzam Cię z prawej, nie zjedź mi pod koła. Ciężarówki często mają z tyłu wymalowany napis please horn czyli proszę trąbić.

Piwko Everest smakuje. Jest sprzedawana w dużych, klimatycznych butelkach. Colę można też kupić w butelkach szklanych takich jak u nas były dawniej, małych kręconych. Piwo akurat jest dosyć drogie w porównaniu do innych artykułów. Poza Thamelem i miejscami odwiedzanymi przez turystów jest sporo taniej. Różnica sięga nawet 50-100%.

Samolot linii których mieliśmy lecieć w góry za 2 dni rozbił przy podchodzeniu do lądowania. Zmieniamy linie na inne i nie dopuszczamy złych myśli. Koledze, będącym w Polsce, jak się później okazało wypadek ten się przyśnił. Zginęło wówczas kilkanaście osób, głównie Niemców. Na miejsce dolecieliśmy cali i zdrowi. Lot jest bardzo ciekawy. Awaria nie wchodzi w grę gdyż nie ma płaskiego miejsca do lądowania. Krótki pas startowy pomiędzy budynkami, na zboczu w miejscowości Lukla. Samolocik niewielki – Dornier gdzie siedzi się na fotelach z krótkimi oparciami, jak dawniej w samochodach bez zagłówków. Jest po jednym rzędzie wzdłuż ścian po obu stronach, w środku korytarzyk. Dostaje się cukierka i watę. Wata nie służy jako podkładka pod

cukierek (niektórzy tak myśleli) tylko do zatkania uszu. Lepiej bo ciszej. Widać góry, w oddali ośnieżone wierzchołki. Warto usiąść z lewej strony.

Nie kusimy się na przewodnika i tragarza. Idziemy sami, we dwójkę. Przy tej cenie dolara byłoby nas stać. To wydatek rządu 20USD na dzień. Z innych powodów rezygnujemy. Ścieżka wiedzie wzdłuż Mlecznej Rzeki. Przechodzimy mostami wiszącymi z jednej strony na drugą. Mosty są dobrze utrzymane i wydają się bezpieczne. Fajnie się bujają przy przechodzeniu szczególnie gdy razem z nami idą po nim jaki.

W Lukli spędzamy pierwszą noc. Po przylocie zostawiamy plecaki i wyruszamy z klapą od jednego z nich, w której chowamy pieniądze, dokumenty, latarkę i inne najpotrzebniejsze przedmioty -na spacer. Idziemy ładny kawałek w stronę naszej jutrzejszej trasy, w kierunku Namche Bazar. Jesteśmy zaskoczeni łatwością w jej pokonywaniu. Wiedzieliśmy, że na początku trudno nie będzie ale nie spodziewaliśmy się, że jest aż tak łatwo. Jemy po drodze pyszne pierożki momo.

Ciężko opisać wrażenia. Chyba najlepiej oddadzą to zdjęcia. Opiszę więc w skrócie całą trasę:

Z Lukli przeszliśmy do Namche Bazar. Następnie poszliśmy do bazy pod Everestem. Weszliśmy na szczyk Kala Pattar z Gorak Shep. Przez przełęcz Cho La dotarliśmy do malowniczo położonej wioski Gokyo, weszliśmy na pobliski szczyt Gokyo Ri. Byliśmy także na szlaku w kierunku Cho Oyu i na skrzyżowaniu lodowców. Wcześniej szliśmy także lodowcami: Khumbu i Ngozumpa. Inną drogą wróciliśmy do Lukli. Widzieliśmy wiele pięknych szczytów: Ama Dablam, Everest, Cho Oyu, Lhotse, Pumori, Cholatse... Spaliśmy w tzw. lodgach i namiocie. Są to swego rodzaju schroniska górskie. Bliżej im do nich niż do nazwy hotelik. Praktycznie każde posiada jadalnię a w jej centralnym punkcie stoi piec. W ciągu dnia o tej porze raczej nie paliło się w nim ale wieczorami jak najbardziej. Robiło się wówczas błogo i ciepło, pomieszczenie nabierało klimatu. Do tego porządne jedzenie, dobrze przyprawione. Porządne nie znaczy że było to wykwintne danie mięsne. Proste ale smaczne potrawy. Wiadomo, w górach po męczącym dniu nawet zwykła herbata smakuje lepiej. W tym rzecz. Stąd aktywny wypoczynek jest receptą na dobre samopoczucie i zdrowie. Można docenić nawet taką właśnie herbatę czy twarde łóżko. Pokoje nie są ogrzewane, temperatura w nocy spada poniżej zera, szczególnie wyżej. Rano by zobaczyć co się dzieje za oknem niejednokrotnie musieliśmy od środka skrobać szybę. Prądu przeważnie nie ma, światła też ale są świeczki. Widać sporo kolektorów słonecznych. Spotkać można oświetlenie energooszczędne w postaci lamp diodowych. Ładowanie baterii możliwe w niektórych miejscach za opłatą. Pysznice są często na zewnątrz. Woda do nich podgrzewana jest w garnkach umieszczonych w kolektorze słonecznym. Obsługa po zamówieniu kąpieli stawia je na dachu, podłącza wąż i w ten sposób ciepła woda spływa grawitacyjnie. Taka przyjemność sporo kosztuje i nie wszędzie jest dostępna. Toalety prymitywne bez muszli, jedynie otwór i wiaderko z wodą do splukiwania, często zamrożoną. Pokoje zamyka się na kłódki. Warto mieć swoją dla pewności. Kradzieże się zdarzają więc trzeba uważać szczególnie na dokumenty i pieniądze. Nie ma bankomatów więc utrata gotówki może się okazać bardzo kłopotliwa. Zasadą jest, że tam gdzie się śpi powinno się jeść. W przeciwnym wypadku gospodarz może naliczyć kilkakrotnie większą stawkę za nocleg. Jedzenie wychodzi znacznie drożej niż nocleg więc w sumie z niego głównie żyją. Według nas najlepsze są małe wiejskie chatki, niezbyt rozreklamowane. Gospodarze bardziej się starają, panuje tam domowa atmosfera. W jednym z takich miejsc bardzo dobrze zostaliśmy przyjęci a ja cieszyłem się szczególnie względami właścicielki. Mogłem brać dokładki ile chciałem. W bardziej komercyjnych lodgach taka sytuacja nie miałaby miejsca. Wręcz przeciwnie. W hotelu Tybet w Namche Bazar, dużym i nowym z kamienia obsługa była beznadziejna, jedzenie także. Pozory mylą, jak to w życiu bywa. Zresztą dodatkowym minusem takich niby ekskluzywnych noclegów jest to, iż goszczą tam snoby. Trzeba wspomnieć, że niestety Himalaje to góry które przyciągają także ludzi zupełnie nie czujących klimatu. Jadą tam, wynajmują tragarzy, zachowują się po chamsku, zabawiają się i wracają z opowieściami gdzie to nie byli. Tymczasem tragarze często wnoszą ich po prostu na trudniejszych odcinkach, wciągają bo nie dają rady wejść nawet bez

plecaka. Nie rozróżniają żadnej góry, nawet nie potrafią poznać charakterystycznej Ama Dablam czy wierzchołka Everestu. Wiadomo, nie każdy musi mieć w głowie topografię Himalajów ale w końcu to góry najwyższe, mityczne. Kilkakrotnie podczas trasy spotkaliśmy Rodaków. Było to bardzo przyjemne. Jedno ze spotkań szczególnie utkwiło nam w pamięci. Było czymś metafizycznym.

Nocleg przed i za przełęczą Cho La spędziliśmy w namiocie. Było zimno ale nasze śpiwory dawały radę. Ciężko porównać co lepsze – Kala Pattar czy Gokyo Ri. Najlepiej więc zaplanować sobie trasę tak, by jak my, znaleźć się w obu miejscach. Bazę często się pomija bo nie widać z niej Everestu. Według mnie błąd. Jest to niewątpliwie ciekawa trasa i warta przejścia. Panuje tam specyficzny nastrój, cisza przerywana wyłącznie pracą lodowca Khumbu po którym się maszeruje. Idąc tamtędy widzieliśmy lawinę. Było kilkanaście namiotów więc ktoś musiał wdrapywać się na górę

Podejście od Gokyo w kierunku Cho Oyu to bardzo fajna droga. Widoki naprawdę cudowne. Widać praktycznie najlepiej Everest, dwa krzyżujące się lodowce oraz oczywiście samo Cho Oyu. Ruch bardzo mały, niewiele osób zapuszcza się w inne miejsca niż sam szczyt Gokyo Ri. Wierzchołki tzw. trekkingowe na których byliśmy są łatwe. Nie ma tam żadnych trudności technicznych. Jedyną barierą jest samopoczucie, które może być złe z powodu wysokości i ogólnego zmęczenia. My akurat przez cały czas czuliśmy się bardzo dobrze. Nie mieliśmy więc problemu by się na nie wdrapać. Człowiek szybciej się męczył przy podejściu niż w naszych górach. Trzeba było częściej odpoczywać. Wynikało to z rozrzedzonego powietrza. Ważną kwestią jest aklimatyzacja. Ponieważ sama droga wydaje się być łatwa można tak samo łatwo popełnić błąd i pójść na całość jeśli chodzi o długości dziennych odcinków. Czujesz się dobrze i masz ochotę, siłę iść do następnej wioski. Warto jednak się zatrzymać, szczególnie gdy są to pierwsze dni w górach, na spokojnie i lekko przejść się po okolicznych górkach, odpocząć. Krótko mówiąc lepiej się oszczędzać aż za bardzo. Później, po kilku dniach można zwiększyć tempo. Przy schodzeniu jak ktoś chce to może nawet biec o ile nie zwichnie sobie nogi. My całą trasę przeszliśmy przez 2 tygodnie. Myślę że w sam raz. Mieliśmy czas by się zatrzymać, nacieszyć widokiem. Mniej nie warto, jak już to więcej – 3 tygodnie to optimum.

W jednym miejscu chcieli nas okraść. Zostawiliśmy plecaki w lodgy i poszliśmy do jadalni. Zamówiliśmy coś do jedzenia. W międzyczasie poszedłem kupić czapki wełniane do chaty obok. Po jedzeniu zauważyliśmy że ktoś naruszył naszą kłódkę. Skojarzyliśmy fakty- to obsługa. Spłoszyłem ich wracając. Od razu się wynieśliśmy, nie spaliśmy tam.

Z tego co słyszeliśmy od napotkanych ludzi takie sytuacje się zdarzały. Jeśli jednak coś ginęło to przeważnie były to pieniądze. Warto więc nosić je przy sobie, podobnie dokumenty. W sumie to wydaje się oczywiste choć z drugiej strony po pierwsze człowiek może się nie spodziewać, że na odludziu, w górach ktoś inny chce go oskubać a poza tym jest zmęczony więc gorzej się myśli i analizuje. Po fakcie łatwo się mówi. Nam na szczęście podczas całego wyjazdu, nie tylko w Nepalu, nic nie zginęło, nikt nas nie okradł ani nie napadł. Mieliśmy przy sobie w gotówce całą kasę na wyjazd. Było to ryzyko ale co tam, raz się żyje. Nie daliśmy bankom zarobić na prowizjach. Kilka tysięcy dolarów zaszyte w nogawkach zmniejszyło z czasem swoją objętość. Na końcu zostało nam 30 USD czyli 15 USD na osobę. Cały (dwumiesięczny) wyjazd udało mi się zaplanować z dokładnością do takiej kwoty. Uważam to za spory sukces.

Pogoda nam sprzyjała. W ogóle przez te 2 tygodnie nie padało, codziennie świeciło słońce, popołudniami chowało dopiero za chmurami, które nachodziły od strony Indii tworząc piękne widowisko przed zachodem słońca. Warto było wdrapać się na jakąś górkę by obserwować to piękne przedstawienie. W zacienionych miejscach kotłowały się groźnie w odcieniach szarości, w nasłonecznionych z kolei prezentowały się niczym ocean rozbijający swe fale o wybrzeże. Kolor słońca nadawał im ciepłą barwę, góry pokryte śniegiem lśniły jak diament. Znowu widać, że aby

docenić to ciepło, błysk, światło musi obok być cień, szarość, skała. Podobnie jak w malarstwie, rysunku – ważny jest kontrast, żeby coś wybijało się z tła kolor, nasycenie obok musi być inne.

Na przełęcz Cho La (5420mnpm) wdrapujemy się bez raków i czekanów. Miejscami by się przydały ale nie są niezbędne. Po śniegu idzie się dobrze, gorzej jest w miejscach oblodzonych i przewianych. Jak człowiek przyzwyczajony jest do ślizgania to i z tym sobie poradzi. Na górze silny, zimny wiatr. Schodzimy po rumoszu skalnym. Trzeba uważać na kroki by nie stąpnąć w szczelinę między głazami. Idziemy na takzwanego czuja bo nie widać konkretnej ścieżki. W pewnym momencie mamy wrażenie, że idziemy źle bo powinniśmy być już w wiosce a jednak nie widać żadnych zabudowań, nie ma ludzi po drodze, Szerpów, żywej duszy. Są kości jaka. Janusz Kurczab w swoim przewodniku Himalaje Nepalu najwyraźniej się pomylił (lub my poszliśmy dookoła). Czas przejścia dla tego odcinka mocno zaniżył (o jakieś 40-50%) Na pozostałych trasach czasy idąc spokojnie zgadzały się lub często były z zapasem. Tu niestety coś nie grało. Trafiamy w końcu na ścieżkę i idzie się znacznie szybciej. Docieramy o zmroku do celu. To był najcięższy dzień. Namiot był wtedy najbardziej luksusowym schronieniem na ziemi. Nic nie było nam więcej do szczęścia potrzebne.

Wracając do Lukli zboczyliśmy z głównego szlaku i poszliśmy przez Khumjung. Jest tu szkoła ufundowana przez fundację Hillarego, pierwszego zdobywcy Everestu. Zejście z Gokyo do Namche zajęło nam dwa dni z tym, że w pierwszy dzień odcinek był najdłuższy: Gokyo - Phortse Tenga.

Po walce na lotnisku wracamy do Katmandu i to koniec naszej górskiej wędrówki. Wracając do lotniska muszę znowu wrócić do pseudoturystów. Mając przewodnika zapominają w ogóle o zasadach ogólnie przyjętych i stosowanych w Europie, w ich ojczystych krajach. Zapominają o czymś takim jak kolejka. Może opiszę krótko jedną z sytuacji: Stoimy od ponad godziny w holu lotniska w Lukli czekając jak otworzą stoisko linii, którymi mamy lecieć. Nie jest to duże lotnisko, nie ma megafonów. Stoimy cierpliwie w kolejce, każdy z nas ma bilet, stoi się tylko po to by zostawić bagaż i zgłosić się do lotu. Nikogo w okienku na razie nie ma. Pojawia się około pół godziny przed planowaną godziną wylotu. Wtedy też schodzi się bydło czyli ludzie niby cywilizowani ale jakoś nie umiejący spojrzeć prosto w oczy, udający że wszystko jest ok. bo przecież ich przewodnik mówi im – idźcie za mną więc w czym problem, przewodnika trzeba słuchać. Ten z kolei prowadzi ich po chamsku do okienka mając ludzi w kolejce gdzieś. Byli wśród nich turyści z Anglii, Francji, których poznaliśmy po drodze, z którymi fajnie się nawet rozmawiało. Teraz wyszło sztydło z worka. Udają że nas nie widzą i myk, są już przed kolejką. Nie mają skrupułów, są usprawiedliwieni. Gdy komuś w końcu zwracam uwagę patrzy na mnie ze zdziwieniem – przecież my idziemy za przewodnikiem, to nie nasza wina, on nam każe podejść to podchodzimy mówią. Żałosne. Niestety to prawda i w Himalajach dla nas była to największa trudność – patrzeć na prostaków. Wykorzystywali oni tragarzy tłumacząc, że przecież w ten sposób dają im zarobić. Cholernie dziwne usprawiedliwienie swojego lenistwa. Skoro ktoś chce pomóc finansowo tubylcom może w inny sposób. Sami pojedziecie, zobaczycie jak to wygląda a przyznacie mi rację. Korzystanie z usług tragarza przez ludzi sprawnych fizycznie i młodych jest nieuzasadnione.

Mimo tego wszystkiego warto pojechać w Himalaje. Trzeba być tylko świadomym, że nie jest to miejsce zupełnie dzikie (rejon Khumbu). Jest dużo turystów, coraz więcej komercji.

Co do Francuzów śmieszna była jeszcze jedna sytuacja. Jak wiadomo, stety lub niestety, językiem w którym porozumieć się można prawie wszędzie na świecie jest angielski. Do tych miejsc należy także Nepal. Ludzie więc niejako domyślnie posługują się tym językiem w stosunku do tubylców jak i między sobą. Francuzi mijając się na szlaku mówili do nas bonjour. Sam ten fakt nie jest specjalnie dziwny i zły. W sumie mają prawo mówić w ojczystym języku bo albo nie muszą znać innych albo też nie chcą. W każdym razie my na początku odpowiadaliśmy także bonjour bo na tyle język ten znamy. Później jednak przemyślałem sprawę i zacząłem odpowiadać dzień dobry.

Przecież ja mam takie samo prawo używać ojczystego języka jak oni. Wszystko byłoby zrozumiałe gdyby nie to, że Francuzi gdy słyszeli moje dzień dobry robili miny tak zdziwione, że aż mnie to zaczęło śmieszyć. Oni mogą to ja też. Ja się jednak nie dziwiłem i nie kręciłem nosem...

Po powrocie z gór wybraliśmy się na rafting. Wybraliśmy trudną rzekę – Bhote Kosi. Poziom wody był bardzo wysoki a nurt trzydziestokrotnie większy niż na Dunajcu. Ciężko sobie to wyobrazić. Nie wiedziałem, że fale na rzece mogą być tak wysokie, że może tak miotać pontonem, że cały czas trzeba być skoncentrowanym i ostro wiosłować, nie ma chwili by zrobić zdjęcie. Cały czas pełna współpraca zespołu. Przewodnik wydaje komendy i załoga musi się dostosować, szybko działać. W takich chwilach ludzie dają z siebie wszystko bo czują zagrożenie. Dwa dni spędzone na rzece to z pewnością niezapomniane chwile. Podczas całego wyjazdu nie mieliśmy żadnych problemów ze zdrowiem a tu, przy wysiadaniu z pontonu Belg siedzący obok musiał wstając przywalić mi wiosłem. Ofiara losu rozwalila mi palec. Do Katmandu wróciliśmy zdezelowanym autobusem. Po drodze ktoś rzucił kamieniem i zbił szybę. Nikomu nic się nie stało. Byliśmy kilka kilometrów od Tybetu. Tak blisko w sklepach można było kupić piwo właśnie stamtąd – Lhasa.

Wypożyczyliśmy rower. Pojechaliśmy do Patanu. Pokręciliśmy się w ciemno po różnych zaułkach Katmandu. Dobry to sposób i tani. Możemy jechać gdzie chcemy i kiedy chcemy, zatrzymać się według własnego uznania w każdym miejscu. Trzeba bardzo uważać bo ruch jest nietypowy. Pomijam już lewostronność. Trąbią, kopcą, wymuszają, zajeżdżają... ale jest fajnie gdy się już przyzwyczai.

Czas na motocykl. Jedziemy Bajajem do Bhaktapuru. Wjeżdżamy na sam Durbar Sqare. Przy wyjeździe ze stolicy niesamowity korek, kłęby spalin unoszą się nad drogą pomieszane z pyłem. Niektórzy praktykują maseczki ochronne na twarz. My idziemy na żywioł i nie zabezpieczamy się z żaden sposób. Po drodze jednak ciężko patrzeć bo piasek i pył wchodzi w oczy. Kupuję okulary w jednej z miejscowości. Nie było innych – tylko dziecięce. Facet miał ubaw jak je przymierzałem. Przynajmniej lepiej się jechało. Mimo tego nieładu w ruchu ulicznym można dopatrzeć się reguł, można się odnaleźć. Po pierwsze nie wolno się bać, trzeba jechać na pewniaka. Po drugie, nie przejmować się że ktoś na nas trąbi bo on nie trąbi tak naprawdę na nas tylko dla nas – ostrzegając o zamiarze. Tam lusterek się nie używa, zastępują je klaksony. Kolejna zasada - większy ma zawsze pierwszeństwo. Znakami się zbytnio nie sugeruj, traktuj je jako ciekawostkę i urozmaicenie krajobrazu. Trzeba nabrać wyczucia, przewidywać co kto ma w zamiarze. Nie jest tak tragicznie jak już się pojeździ. Trzeba się wyluzować bo inaczej pewny zawał serca. Po kilkudziesięciu kilometrach wydaje się być normalnie. Motocykl dał nam możliwość zobaczenia wiosek, których bez niego byśmy nie widzieli. Siedząc na motorze i jadąc w ciemno przed siebie przez polne i leśne dukty, boczne dróżki można więcej poczuć niż w centrum turystycznej atrakcji. Fajnie jechać po prostu przed siebie, wśród wieśniaków. Nie ma sklepów z pamiątkami i tego typu atrakcji. Są pracujący w polu, dzieci idące poboczem, bawiące się, piorące kobiety...

Wypożyczyliśmy motocykl z bardzo małą ilością paliwa, symbolicznym litrem. Okazało się, że zatankowanie jest bardzo trudne bo albo stacja benzynowa zamknięta albo skończyło się paliwo. Krążyliśmy tak więc na oparach do momentu jak poznaliśmy redaktora telewizji nepalskiej-Kumara. Zaprowadził nas on na stację policji gdzie paliwo jeszcze było. Braki wynikały głównie z wielkiego w tym czasie zapotrzebowania. Jako, że były święta i ludzie mieli wolne – odwiedzali rodzinę jeżdżąc więcej niż zwykle.

Strzelanie z petard, palenie świec przy wejściach do domostw, sypanie kwiatów do wody i wiele innych rytuałów związanych z festiwalami mogliśmy obserwować w tym czasie. Pod koniec pobytu nie wiemy dlaczego ale zauważyliśmy wzmożoną aktywność wojska i policji. Patrole składały się z 6-8 żołnierzy z czego jeden czy dwóch miało karabiny a reszta kije bambusowe. Wyczuwaliśmy, że coś jest nie tak. Nawet właściciel naszego pensjonatu zachowywał się dziwnie. Nie wiemy dlaczego

ale mieliśmy odczucie, że dzieje się coś złego, że tacy jak on mają zamiar uciec bo będzie źle. Na niektórych skrzyżowaniach, szczególnie w pobliżu pałacu lub ambasad były mury z worków z piaskiem na których spoczywały karabiny, za nimi wychylone twarze żołnierzy.

To kraj bardzo biedny. Może na Thamelu tego nie widać ale tak niestety jest. Wiele dzieci pracuje i głoduje, ludzie żyją w nędzy obok bogactwa i turystów. Dziwne to bo przecież turystyka powinna dawać tym ludziom godne życie. Tylko nieliczni się bogacą. Potężna korupcja, układy i układziki czynią że bogaci się bogacą kosztem biednych. Biedni nie mogą się poskarżyć bo nie mają komu. Siedzą cicho bezradni. Nawet tragarze, którzy przecież zarabiają jak na te warunki dużo nie widać by żyli w przepychu. Chodzą w bardzo kiepskich ubraniach, butach – często plastikowych chińskich adidasach.

W jednym ze sklepików właściciel chodził o kulach. Zaprosił nas na zaplecze i chwilę rozmawialiśmy. Zapytałem co się stało, że kuleje. Miał wypadek na motorze. Wyjechał mu taksówkarz. Sprawa była ewidentna i wskazywać mogła wyłącznie, że winnym powinien być kierowca taksówki. Jednak niestety sprawa zakończyła się inaczej. Pieniądze i układy się liczą. Żal mi się go zrobiło. On nie należy do najbiedniejszych bo ma przecież swój sklep. Co dopiero tacy, którzy nie mają nic. Nie poruszałem do tej pory kwestii maoistów. Wiadomo, że objęli oni władzę i wiadomo w jaki sposób. Piszę tu o tym tylko dlatego by nie zapomnieć o zwykłych wieśniakach ograbianych i torturowanych, uczciwych ludziach, którym nie jest łatwo nie tylko przez surowe warunki, klimat, ciężką pracę. Nie płaciliśmy maoistom ani razu.

Jeśli chodzi o jedzenie jest jak wspomniałem bardzo dobre. Nie radzę jeść mięsa. Jak zobaczysz w jakich warunkach jest przechowywane to na pewno wytrzymasz nawet i miesiąc bez niego. Sprzedawcy na ulicy nie mają lodówek, mięso leży tak po prostu porąbane na stoliku, wokół krążą muchy, kręcą się wyliniałe i wychudzone psy a słońce świeci sprawiając że zapach jest niezbyt kuszący. Sprzedawcy zabijają go kadzidelkami. U nas kadzidelka to orientalne doświadczenie. Tam jak śmierdzi to nimi się ratują. Pewnego wieczoru siedząc w kafejce internetowej zaczęło strasznie wybijać z kanalizacji. Właz studzienki znajdował się na środku pomieszczenia. Właściciel zapalił kadzidelko i zaczął chodzić między komputerami by zabić smród.

Wylądowaliśmy w Warszawie 7. listopada 2008. Na szczęście dopiero tu zaginął nasz bagaż. Oczywiście lepiej gdyby nie zaginął w ogóle ale z dwojga złego dobrze, że wydarzyło się to na końcu naszej wyprawy. Był pewien plus takiej sytuacji ponieważ wracaliśmy tylko z lekkimi podręcznymi plecakami a pociąg do Poznania był przepełniony. Łatwiej także było jechać autobusem komunikacji miejskiej z Okęcia na Centralny. Pierwszą osobą jaką spotkaliśmy w Polsce był mój kolega ze studiów – Piotrek. Zaprosił nas do znanego budynku w centrum na obiad. W Poznaniu byliśmy wieczorem. Autobusem linii 51 udaliśmy się na Naramowice, gdzie mieszkamy. Fajne uczucie wjechać na dworzec z innej strony niż się wyjeżdżało. Znajome kąty z okna autobusu, obcy przechodnie a jednak czujemy się jak byśmy wszystkich znali, jak byśmy już byli w domu. Tyle kilometrów i miejsc za nami. Można tak precyzyjnie wrócić w to samo miejsce zataczając pętlę. Pętla ta daje jednak mnóstwo doświadczeń, wrażeń i pozwala nabrać odpowiedniego dystansu do spraw codziennych, inaczej spojrzeć na nasz dotychczasowy mały świat. Świat jest wielki a życie piękne...

(C)Wyatt (www.easyriders.pl)